

Autor: REGINALD BRETNER
Tytuł: Kolekcjoner tajemnic

(Unknown Things)

Z "NF" 9/99

W ciągu trzydziestu lat pracy w biznesie antykwarycznym poznałem mnóstwo kolekcjonerów: chciwych (choć w gruncie rzeczy każdy kolekcjoner musi być choć trochę chciwy), wyśmienitych specjalistów w swoich dziedzinach, ludzi o obszernej wiedzy podręcznikowej, za to całkowicie pozbawionych gustu, pozerów dążących wyłącznie do podniesienia swojej pozycji społecznej, nielicznych pasjonatów, z którymi można było gawędzić bez końca, znacznie liczniejszych nudziarzy oraz wielu dziwaków, których trudno byłoby jednoznacznie zaklasyfikować. Najdziwniejszym z nich był jednak bez wątpienia Andreas Hoogstraten: zawsze uprzejmy, prawie zawsze uśmiechnięty, roztaczał wokół siebie aurę chłodu, jaka zazwyczaj panuje w nawiedzonych domach. Wyczułem ją pomimo jego oczywistego bogactwa, nienagannie skrojonych ubrań, patrycjuszowskiego nosa, przylizanych blond włosów, krzaczastych, zdumiewająco żółtych brwi oraz łagodnego głosu przypominającego gruchanie gołębic.

Poznałem go w pubie w Glastonbury. Rok w rok jeździłem do Anglii, kupowałem starą furgonetkę i przez co najmniej dwa miesiące włóczyłem się po Walii, Szkocji i Kornwalii, skupując zabytkowe meble i wypełniając je mniejszymi zabytkowymi przedmiotami. Następnie przenosiłem się do Europy i przez mniej więcej miesiąc robiłem to samo we Francji, Belgii i Holandii. Kiedy furgonetka była załadowana po dach, odsyłałem ją do Stanów na pokładzie jakiegoś frachtowca (w tamtych czasach było to jeszcze możliwe), po czym wracałem nią do Saybrook z portu, do którego dopłynął statek. Zabawa była przednia.

Pub w Glastonbury nosił nazwę "Pod Szlochającą Mniszką" (zapewne dla upamiętnienia jakiejś miejscowej historii z duchami; nad wejściem wisiał osiemnastowieczny szyld przedstawiający wspomnianą mniszkę na tle rozpadających się pomników nagrobnych skąpanych w srebrzystej księżycowej poświacie) i wyglądał tak, jak powinien wyglądać prowincjonalny angielski pub - mnóstwo ciemnego drewna, cynowych naczyń, na ścianach takie obrazki, jakich należało się spodziewać, ogromny kominek, w którym można było piec wielkie kawały mięsa, żadnej szafy grającej albo telewizora, które zepsułyby niepowtarzalną atmosferę. Poszedłem tam z Todem Bardsleyem, miejscowym antykwariuszem, z którym od wielu lat robiłem interesy. Właśnie zabieraliśmy się do lunchu, kiedy wszedł Hoogstraten, pomachał nam i podszedł do naszego stolika razem ze swoją chłodną aurą.

- Powiedziano mi, że pana tu zastanę, ale nie wiedziałem, że będzie pan z przyjacielem - zwrócił się do Toda, który trącił mnie kolanem i przesunął się, robiąc mu miejsce.

- Proszę siadać, panie Hoogstraten - odparł. - Charles z pewnością nie będzie miał nic przeciwko temu. To kolega z branży. - Zachichotał. - Jak każdy z nas, chętnie korzysta z okazji, żeby poznać kolejnego klienta.

Zostaliśmy sobie przedstawieni. Uścisnąłem szczupłą, zimną rękę Hoogstratena i powiedziałem, że miło mi go poznać. Istotnie, jestem antykwariuszem, ale z bardzo daleka. Bardsley opowiedział mu w skrócie o moich corocznych ekspedycjach, a w tym czasie dziewczyna przyniosła nam piwo i przyjęła od Hoogstratena zamówienie na whisky z wodą.

- Wiele pan podróżuje - stwierdził, przypatrując mi się bacznie. - Dzięki temu zapewne ogląda pan znacznie więcej interesujących przedmiotów niż przeciętny antykwariusz?

- Zapewne? - Bardsley się roześmiał. - Założę się, że na całych Wyspach nie ma antykwariatu, do którego by nie zajrzał, nie wspominając już o tych po drugiej stronie Kanału! Jestem bardziej niż pewien, że wpadło mu w ręce parę rzeczy, które by się panu spodobały.

- Co pan zbiera? - zapytałem.

Spojrzał mi prosto w oczy a ja dopiero teraz zauważyłem, że nie ma rzęs. Jego oczy były bladobłękitne jak porcelana Wedgwood i sprawiały wrażenie zupełnie suchych, jakby nigdy nie wypełniły się łzami.

- Co zbieram? - powtórzył. - Wszystko, czego nie rozumiem, przy czym nie mam na myśli rozumienia zabytku albo dzieła sztuki. Intryguje mnie każdy przedmiot, o którym nie wiem, do czego służy, i którego przeznaczenia nie potrafię sobie wyobrazić. Jeśli jest na sprzedaż, kupuję go. Moja niewiedza, oraz niewiedza innych osób, stanowi dla mnie wyzwanie, któremu staram się sprostać. Gdzie znajduje się pański sklep?

- W Saybrook, Connecticut.

- To niedaleko ode mnie. Mieszkam w Nowym Jorku.

Wymieniliśmy wizytówki. Obiecał, że wpadnie do mnie któregoś dnia, żeby się rozejrzeć, i poprosił, żebym miał oczy szeroko otwarte na wypadek, gdybym trafił na coś zagadkowego. Dowiedziałem się również, iż obecnie Hoogstraten znajduje się w drodze do Stambułu i w ogóle na Bliski Wschód, a być może odwiedzi także Nepal i, ponieważ Chińczycy częściowo zniesli ograniczenia, również Tybet. Krótco po tym, jak przyniesiono nam lunch, wstał, powiedział Bardsleyowi, że wpadnie do jego sklepu, przypomniał mi, żebym miał na uwadze jego prośbę, po czym wyszedł. Natychmiast zażądałem od Toma wyjaśnień.

- To dziwak, Charlie. Kupi wszystko, pod warunkiem, że nie będziesz potrafił wyjaśnić mu, co to jest, i dobrze zapłaci. Ostatnio wypatrzył u mnie dziwny przyrząd z lanego żelaza z mnóstwem pokręteł i ruchomym uchwytem, który zupełnie nie pasował do całości. Oglądał go ze wszystkich stron, a kiedy z nim wychodził, miał minę kota, który dobrał się go garnka ze śmietaną. Jakiś rok wcześniej znalazłem mu obraz - coś jakby siedemnastowieczny holender, ale nie do końca. Im dłużej mu się przyglądałeś i im bardziej starałeś się zrozumieć, co przedstawia, tym dziwniej wyglądał, ale nie ulegało wątpliwości, że namalował go prawdziwy artysta. Bez mrugnięcia okiem zapłacił mi za niego siedemset funtów.

Najpiękniejsze w tym wszystkim jest to, że kupuje towar, którego prawie na pewno nie zdołałbym nikomu wcisnąć, więc nawet jeśli wygląda trochę dziwnie z tymi swoimi brwiami i wyblakłymi oczami, to co z tego?

Wspomniałem o emanującym od niego chłdzie, lecz Tom odparł, że nic takiego nie wyczuł, więc uznałem, że widocznie uległem złudzeniu.

Teraz już wiem, że tak nie było.

Hoogstraten nigdy nie pofatygował się do Saybrook, a ja po trzech albo czterech miesiącach prawie o nim zapomniałem - aż do chwili, kiedy na pchlim targu wpadł mi w ręce przedmiot, którego przeznaczenia nie byłem w stanie odgadnąć.

Zazwyczaj nie zawracam sobie głowy takimi rzeczami, tym razem jednak stało się inaczej. Był wykonany wyjątkowo starannie z mosiądzu i błyszczącej stali, a mahoniowa szkatułka, w której spoczywał, bez wątpienia pochodziła z ostatniej dekady dziewiętnastego stulecia. Oprócz niego w szkatułce znajdowało się osiem albo dziesięć mosiężnych, precyzyjnie obrobionych kółek z zagadkowymi geometrycznymi wzorami. Po osadzeniu ich na osi przedmiot upodabniał się trochę do pocztowego datownika wyposażonego dodatkowo w dwa tajemnicze wyskalowane pokrętła. Właściciel podejrzał, iż mógł to być przyrząd do odciskania na czekach niewidocznego gołym okiem wzoru, który miałby uchronić je przed fałszowaniem, ale nie wiedział, na jakiej zasadzie opierało się jego działanie. Kupiłem dziwaczny przyrząd za niecałe dwadzieścia dolarów, po czym jeszcze tego samego wieczoru zadzwoniłem do Hoogstratena i stwierdziłem z zadowoleniem, że wrócił już ze swoich podróży. Jak tylko opisałem mu zagadkowe urządzenie, wyraźnie się ożywił; przykro mu, lecz niestety nie może przyjechać do Saybrook, ale może zechciałbym odwiedzić go w Nowym Jorku?

Zawahałem się, ponieważ tak drobna transakcja nie wydawała mi się warta większego zachodu, on jednak natychmiast rozwiął moje wątpliwości:

- Panie Dennison... Tak pan się nazywa, prawda? Proszę się nie przejmować sprawami finansowymi. Za każdą rzecz, która wzbudzi moje zainteresowanie, jestem gotów zapłacić co najmniej trzycyfrową kwotę, chyba że sprzedający poda wcześniej niższą cenę. W tym przypadku, nawet jeśli nic od pana nie kupię, z nadwyżką wynagrodzę panu stratę czasu.

Umówiłem się z nim na niedzielę, a on podał mi adres w pobliżu Sutton Place (na wizytówce był tylko numer telefonu). O drugiej po południu wysiadłem z taksówki

przed wielopiętrową, ekskluzywną kamienicą. Czekać pokornie aż barczysty portier zaanonsuje przez telefon moje przybycie, stwierdziłem, że w budynku jest tylko tyle mieszkań, ile pięter.

- Pan Hoogstraten oczekuje pana - oznajmił wreszcie portier, po raz kolejny obrzuciwszy mnie podejrzliwym spojrzeniem. - Drugie piętro.

Nowoczesna, bezszelestna winda w okamgnieniu zawiozła mnie na właściwą kondygnację. Czekał tam już na mnie niewysoki, masywnie zbudowany mężczyzna o bladej kwadratowej twarzy i wielkich rękach - wyglądał na kogoś, kto jest równocześnie kamerdynerem, szoferem, ochroniarzem i płatnym zabójcą. Na mój widok uklonił się uprzejmie, po czym zaprowadził na koniec holu i otworzył przede mną drzwi.

Trudno mi powiedzieć, czego oczekiwałem, ale wewnątrz, które ukazało się moim oczom, nie miało nic wspólnego z Muzeum Sztuki Nowoczesnej: tutaj przestrzeń została poddana świadomej manipulacji za sprawą światła, cienia oraz przeróżnych odcieni czerni i szarości, upstrzonych tu i ówdzie natrętną żółcią, bielą i czerwienią. Część mebli wtapiała się w tę mozaikę, inne od razu zwracały na siebie uwagę poskręcany jak w agonii kształtami lub skąpo rozrzuconymi dziwacznymi ozdobami. Nigdzie nie było widać ani śladu jego kolekcji.

Na mojej twarzy z pewnością odmalowało się zdumienie, lecz gospodarz tego nie spostrzegł, ponieważ całą uwagę skupił na przyniesionej przeze mnie szkatułce. Jego źrenice wyglądały jak czarne otwory wypalone w nieskalanym błękicie. Nawet nie poprosił, żebym usiadł, tylko, ubrany jak na pokaz mody, niemal wyrwał mi pudełko z rąk, otworzył je pospiesznie, wyjął zagadkowy przyrząd, postawił pudełko na stole, po czym, częściowo obnażywszy nienaturalnie równe zęby, opadł na fotel i zaczął oglądać go ze wszystkich stron, podczas gdy ja wciąż stałem, przestępując niepewnie z nogi na nogę.

- Jak pan sądzi, do czego to służy? - zapytał wreszcie.

- Nie mam pojęcia - odparłem. - Człowiek, od którego to kupiłem, przypuszczał, że być może przyrząd ten wykorzystywano do zabezpieczania czeków przed podrobieniem...

- Bzdura! - parsknął. Oględziny trwały jeszcze kilka minut, aż w końcu Hoogstraten podniósł wzrok i uśmiechnął się do mnie, a ja znowu poczułem wionący od niego chłód. - To bardzo interesujące. Myślę, że sprawi mi sporo przyjemności. - Skinął głową. - Tak, z pewnością. Czy zadowolili pana pięćset dolarów?

- Jest pan bardzo hojny - odparłem, przyjmując pieniądze.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi i do pokoju weszła kobieta. Zatrzymała się zaraz za progiem i zmierzyła nas uważnym spojrzeniem, a ja poczułem się tak, jakbym dostał obuchem w głowę. Świat poza nią przestał dla mnie istnieć. Była wysoka, czarnowłosa i czarnooka, miała wystające kości policzkowe... Ale te wszystkie szczegóły nie miały najmniejszego znaczenia wobec końcowego, całościowego efektu. Nareszcie pojąłem, dlaczego mężczyźni wyobrażali sobie boginie i składali im ofiary, dlaczego rycerze wiernie służyli damom swego serca, dlaczego artyści tworzący u schyłku epoki wiktoriańskiej, tacy jak Burne-Jones, idealizowali kobiecie piękno. Równocześnie ogarnęło mnie jeszcze jedno uczucie, które powraca nawet teraz, kiedy o niej myślę - to najbardziej podstawowe, rozpalające żar w lędźwiach.

Odwróciła się ku nam, a ja, na przekór zdrowemu rozsądkowi, nabrałem przekonania, że nie idzie, lecz płynie lub unosi się nad podłogą. Miała na sobie prosty żakiet i białą bluzkę z niewielkim żabotem. Żadnej biżuterii, jeśli nie liczyć skromnej broszki oraz obrączki.

Hoogstraten podniósł głowę i lekko zmarszczył brwi.

- Wychodzisz?

- Tak, kochanie - odparła, a mnie ogarnęła irracjonalna zazdrość. - Ale tylko... jak to się mówi? Na godzinkę albo dwie. Nie potrzebujesz mnie teraz?

Mówiła z najdziwniejszym akcentem, jaki w życiu słyszałem. Nie byłem w stanie go zidentyfikować. Jedyne, co mogę stwierdzić z całą pewnością, to że w moich uszach brzmiał jakoś tak... archaicznie. Hoogstraten nie odpowiedział, ponieważ jego uwagę ponownie skupił na sobie przedmiot, który ode mnie kupił.

- Do zobaczenia - powiedziała, obdarzyła mnie przelotnym uśmiechem i wyszła. Musiałem mu przerwać.

- To pańska żona? - spytałem.

- Tak, tak - odparł, lekko zirytowany. - Ładna, prawda?

Ładna? Ona jest przepiękna! - pomyślałem, ale zachowałem dość zdrowego rozsądku, żeby tego nie powiedzieć. Minęło trochę czasu, zanim sobie przypomniał o mojej obecności i z westchnieniem odłożył nabytek.

- Dziękuję panu, Dennison. Mam nadzieję, że zawiadomi mnie pan, jeśli ponownie znajdzie pan coś interesującego? Varig odprowadzi pana.

Chyba nacisnął jakiś ukryty guzik, ponieważ niemal w tej samej chwili w drzwiach stanął służący. Hoogstraten nie pofatygował się, by powiedzieć "do widzenia".

Tej nocy zjawiła się we śnie, którego scenariusz mógłby wyjść spod pióra Tennysona albo któregoś z lojalnych wobec Karola I poetów tworzących w połowie siedemnastego wieku eleganckie, dystygowane wiersze. Musiałem się sporo namęczyć, aby wytłumaczyć się ze swojego opętania bardzo miłej dziewczynie, z którą się wówczas spotykałem. Myślałem o pani Hoogstraten prawie bez przerwy. Zaniepokoiło mnie to do tego stopnia, iż miałem nadzieję, że w moje ręce nie trafi już żaden tajemniczy przedmiot, który mógłby zainteresować jej męża - nawet gdyby był gotów zapłacić mi za niego fortunę.

Tak się jednak złożyło, że w ciągu następnych kilku miesięcy natrafiłem na trzy obiekty jakby stworzone specjalnie dla niego, on zaś za każdym razem życzył sobie, bym dostarczył mu je do Nowego Jorku. Usprawiedliwiałem się sam przed sobą, że przecież jestem handlarzem dziełami sztuki i popełniłbym szaleństwo rezygnując z tak łatwych pieniędzy, teraz jednak wiem już, iż w rzeczywistości kierowała mną nadzieja na ujrzenie jej choć przez najkrótszą chwilę oraz na usłyszenie choćby kilku słów. Wciąż widywałem ją we snach i zdręczałem się, wyobrażając ją sobie w lodowatych objęciach jej męża.

Moja druga wizyta była bardzo podobna do pierwszej, z tą różnicą, że kiedy wszedłem, pani Hoogstraten już była w pokoju, również ubrana bardzo skromnie... ale to akurat nie ma najmniejszego znaczenia. Na mój widok wstała i choć jej mąż nie uznał za stosowne nas przedstawić, podziękowała za przyrząd - bo to był jakiś przyrząd, prawda? - który poprzednio sprzedałem Andreasowi i który sprawił mu ogromną przyjemność. Andreas jest geniuszem. Jego niezwykły umysł domaga się kolejnych wyzwań. To bardzo miło z mojej strony, że...

Stałem jak niemowa, obezwładniony jej urokiem, Hoogstraten tymczasem rozpakowywał to, co mu przyniosłem: zegar, lecz nie całkiem. Wyjątkowo skomplikowany mechanizm w obudowie, która chyba wyszła spod ręki jakiegoś egzotycznego Faberge'a, coś z pewnością odmierzający - ale nie czas. Po kilku minutach, nie podnosząc głosu, poprosił, żeby zostawiła nas samych; wyszła bez najmniejszego żalu czy choćby słowa protestu. Znienawidziłem go za to i, niemal na przekór sobie, zażądałem za tajemniczy przedmiot siedem tysięcy dolarów. Zapłacił mi siedem i pół tysiąca - znowu gotówką.

Minęły dwa miesiące, zanim zjawiłem się tam ponownie - dwa miesiące wypełnione snami i myślami o niej, próbami rozwikłania tajemnicy przemożnego wpływu, jaki na mnie wywierała, oraz usiłowaniami wyobrażenia sobie jej życia sprzed ślubu z Hoogstratenem. Starąłem się także dociec, dlaczego za niego wyszła.

Tym razem również była w pokoju i ponownie nawiązała rozmowę. Nic szczególnego: luźne uwagi na temat pogody i o tym, jak to miło z mojej strony, że dostarczam intelektualne łamigłówki Andreasowi. Potem spektakl się powtórzył: po jakimś czasie kazał jej odejść, sam zaś skupił się bez reszty na oglądaniu dostarczonego przeze mnie przedmiotu. Była to jakby trochę książka, a trochę bizantyńska ikona, z napisami w zupełnie nieznanym mi języku. Podczas przewracania grubych kart tekst zniknął na chwilę, pojawiały się ilustracje, po czym one również zniknęły bez śladu, na ich miejsce zaś wracały niezrozumiałe zdania. Hoogstraten był zachwycony i zapłacił mi znacznie więcej, niż miałbym odwagę zażądać. Zaraz potem, po raz pierwszy od początku naszej znajomości, zagadnął mnie przyjaznym tonem:

- Czy zastanawiał się pan, Dennison, skąd biorą się te przedmioty? Dlaczego powstały? Czy tylko po to, by rzucić wyzwanie mnie i mojej inteligencji?

Niektóre z nich z pewnością stanowią wytwór zaginionych kultur i cywilizacji, być może nawet innych światów, ale powtarzam: dlaczego powstały? Czy stworzono je celowo? Czy już z założenia miały być łamigłówkami, sprawdzianem moich intelektualnych możliwości? - Wstał, podszedł do dziwnie poskręcanej regału

przypominającego zastygłego w agonii świętego z obrazu El Greco i zdjął z półki naczynie, które na pierwszy rzut oka przypominało niezbyt udane dzieło początkującego garncarza. Wręczył mi je, a ja stwierdziłem, że jest zdumiewająco ciężkie.

- Proszę się temu przyjrzeć. Wie pan, co to jest?

Z bliska wyglądało jak wykonana z lustrzanego szkła butelka o wyjątkowo szerokiej szyjce, której krawędzie wnikały od wnętrza naczynia, łącząc się ze ściankami na przeciwnym końcu.

- To butelka Kleina. Słyszał pan o wstędze Moebiusa?

- Ma pan na myśli pasek papieru, którego koniec przekręca się o sto osiemdziesiąt stopni, a następnie łączy z początkiem?

- Właśnie. Butelka Kleina to właśnie coś takiego, tyle że w trzech wymiarach. Wszystko, co znajduje się w jej wnętrzu, jednocześnie jest na zewnątrz, i na odwrót. Rozumie pan?

Odparłem twierdząco.

Odebrał mi ją i przyjrzał się jej z mieszaniną dumy i gniewu.

- Wywierciłem w niej dziurę i wprowadziłem do środka miniaturowy aparat, którym posługują się chirurdzy, badając tajemnice wnętrza ludzkiego ciała. W środku jest mozaika doskonale dopasowanych kryształów oraz jakby urządzenia albo mechanizmy, których nawet nie jestem w stanie opisać. Jak na razie, tylko ta jedna rzecz zdołała uchronić przede mną swoją tajemnicę. Mam ją od wielu lat, lecz wciąż wiem o niej tyle samo co w dniu, kiedy do mnie trafiła. Wierzę jednak, że trafiła nieprzypadkowo. To z pewnością część sprawdzianu, jedno z wyzwiań.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, zaszokowany rozmiarami jego megalomanii.

- Ja... To znaczy... Zapewne zgromadził pan już sporą kolekcję?

Odstawił butelkę Kleina na półkę.

- Sporą kolekcję? - powtórzył z szyderczym uśmiechem. - Nigdy nie mam więcej niż dwa albo trzy przedmioty jednocześnie. Nie są w stanie długo bronić przede mną swoich tajemnic. Tylko ta butelka jest ze mną od dawna.

- A co pan potem z nimi robi? - zapytałem. - Oddaje je pan komuś? A może sprzedaje?

- Skądże znowu! Kiedy już rozwikłałem ich zagadkę, kiedy spełnią swoje zadanie, niszczyć je. Tylko w ten sposób mogę się na nich zemścić.

Wstrząśnięty do głębi, zacząłem go przekonywać, że nie powinien tak postępować, bo to przecież autentyczne skarby, arcydzieła sztuki, obiekty warte zainteresowania uczonych, lecz on przerwał mi, zanim zdążyłem dokończyć pierwsze zdanie.

- Nie ma mowy! - wykrzyknął. - Kiedy już wiem, czym są i do czego służą, stają się niczym! Niczym, rozumie pan? Tracą duszę.

Zapłacił mi jeszcze więcej niż poprzednim razem i wydobyl ode mnie obietnicę, że nadal będę prowadził dla niego poszukiwania. W duchu obiecałem sobie jednak, że już tam nie wrócę, bez względu na to, na jak cenną trafiłbym zdobycz.

Pięć miesięcy później, zaraz po corocznej wyprawie do Anglii, zламаłem postanowienie, ponieważ musiałem zobaczyć ją jeszcze jeden jedyny raz - mimo iż, w pewnym sensie, przez cały czas byliśmy razem. Zrozpaczony, prawie co noc budziłem się z przedrafaelickich snów z nią w roli głównej, usiłując dociec, co skłoniło ją do małżeństwa z tym człowiekiem - bez wątplenia jego pieniądze. Ale dlaczego? Dlaczego???

Więc jednak wróciłem. Przywiozłem ze sobą bardzo prosty przedmiot: prymitywne narzędzie, zagadkowe tylko w tym sensie, że nie sposób było odgadnąć, do czego służyło. Tym razem nie zastałem jej w pokoju. Przez cały czas, kiedy Hoogstraten oglądał narzędzie, wpatrywałem się w drzwi, pełen nadziei i oczekiwania.

Wreszcie podniósł się z miejsca.

- Kupię od pana ten przedmiot, choć nie jest najwyższej jakości - oznajmił. - Mogę zapłacić tylko czterysta dolarów.

Nie wytrzymałem.

- A gdzie pani Hoogstraten? - zapytałem, starając się nadać głosowi obojętne brzmienie.

Przerwał liczenie pieniędzy i skierował na mnie spojrzenie zimnych, błyszczących oczu.

- Nie ma jej - powiedział cicho. Przez jego twarz przemknął cień uśmiechu. -
Widzi pan, wreszcie udało mi się odkryć jej tajemnicę.
Przełożył Arkadiusz Nakoniecznik

REGINALD BRETNOR

Urodził się w 1911 r. we Władywostoku jako Alfred Reginald Kahn. Był synem żydowskiego bankiera z Łotwy i angielskiej guwernantki. W 1917 r. rodzina przeprowadziła się do Japonii, trzy lata później zaś do Stanów Zjednoczonych. Bretnor (przyjął panieńskie nazwisko babki ze strony matki) do końca swego długiego życia już ani razu nie opuścił Ameryki, choć wielu jego znajomych było gotowych dać głowę, że jest angielskim dżentelmenem, któremu z bliżej nieznanymi powodów zachciało się zamieszkać za Wielką Wodą. Pisywał fantasy, SF, powieści detektywistyczne, utwory dla dzieci i młodzieży, teoretyczne rozprawy z dziedziny wojskowości. Był wysokim, potężnie zbudowanym mężczyzną, i miał niezwykle złożoną osobowość: mieściły się w niej zarówno ogromne poczucie humoru, miłość do dzieci, kotów i w ogóle wszystkich niedużych stworzeń, jak i podejrzliwość wobec świata, zamiłowanie do broni i - szczególnie w latach trzydziestych - nieskrywana nieufność wobec wszystkich ludzi o innym niż biały kolorze skóry. Pod koniec życia zamienił swój dom w fortecę i zgromadził w nim prawdziwy arsenał. Był zarówno autorem nowatorskiej konstrukcji mózdzierza, jak i autorem hasła "Science Fiction" w dwóch edycjach Britanniki. Zmarł w 1992 r. Drukowaliśmy już jego dwa opowiadania: "Człowiek na szczycie" ("NF" 8/98) i "Koci" ("NF" 6/99).
(anak)